VIII Pomorski Konkurs Literacki dla Nauczycieli

Nagroda główna

**Ewa Krzemińska**

# Echo serca

**szpitalna impresja**

Był piękny maj. Nawet jak maj jest do dupy, to i tak jest piękny. Bo deszczyk. Bo lilak pospolity. Bo ciepło i zielono. Niech będzie. Niechętnie zgadzam się na ten histeryczny zbiorowy zachwyt. Wolę listopad ciągnący za sobą słoneczny ogon października.

Tymczasem, a właściwie tamtym, bo trochę wcześniej niż w maju, serce moje zapragnęło wolności. O poranku, niekiedy wieczorami, ale zawsze trzymając się kurczowo delikatnych, poszarpanych nitek snu, obijało się niespokojnie o krawędzie klatki. Piersiowej. Rozpęd. Kilka uderzeń. Spokój. Cisza. Przed kolejnymi uderzeniami. Taki trzepot ptasich skrzydeł. Wróbel. Szpak. Może gil. Nie. Nie pasują. Wyobraziłam sobie pięknego, tłustego gołębia.
O tak. Gołąb czarny. Rzadko już spotykany u wybrzeża Japonii. Gatunek zagrożony wyginięciem. Tak więc wyobraziłam sobie gołębia, który skubiąc spokojnie jakieś okruchy wspomnień, nieoczekiwanie postanawia zerwać się do lotu. Wielokrotnie i uparcie. Rozpędza się, uderza, dławi. Zaczął niepokoić.

Umówiłam się. Na czternastą. Na wizytę. U kardiologa. Siedzę przed gabinetem. Oddział zapełniony. Szlafroczki pielgrzymują do kuchni po herbatę. Wcale nie stare te szlafroczki. Jeszcze w zielone grają. Ale doktor kazał uspokoić, nakarmić, oswoić gołębie. A potem będzie można mieć gorączkę sobotniej nocy. Na razie powrót z herbatą na salę. Już jutro, za tydzień, ewentualnie po niedzieli będzie można się zakochać.
Miłość prawdziwa. Miłość jedyna. Ta obrzydliwie banalna, balkonowa, z balkonu sięgająca grobu z krzakiem głogu na pierwszym planie. Znaleziona. Niekradziona. A czasem właściwie tak. Przeżyta. Przeżuta. Znalazłam. Usłyszałam.

*Zjedz bułki. Najpierw te. Bo zrobią się nieświeże i twarde.* On potakuje. Że tak. Najpierw te. I tak zapomni. I tak mu się pokręci. Ale niech ona będzie spokojna.

Siedzę z tymi bułkami. Romantyczni bohaterowie już opaleni majowym słońcem. To ich pięćdziesiąta któraś wiosna. Oboje po przejściach, z jakąś może wcale niełatwą przeszłością, która tu i teraz nie ma żadnego znaczenia.

Siedzę sobie i czekam na kardiologa. Specjalistę od gołębi. Tymczasem zostajemy same. *Mąż jest przed zabiegiem. Strasznie przeżywa. Nie trzyma się. A te bułki to na pewno z nerwów pomyli. Albo w ogóle nie zje. Ale powinien zjeść.*

Między moją empatią a jej troską pojawia się kardiolog. Zaprasza do gabinetu.

Jest wysoki, szczupły, szpakowaty. Sympatyczny. Długie włosy związane na karku grzecznie podskakują w rytm kroków doktora. Mam wrażenie, że urwał się z jakiegoś koncertu, że jeszcze przed chwilą szalał pod sceną, na której występował jego ulubiony zespół.

*Dzień dobry. Dzień dobry.*

Włącza komputer, szeleści papierami. Podaję aktualne wyniki badań i wykresy EKG sprzed lat. Góry, doliny, przez które szłam z mężczyznami mojego życia. A każdy z nich miał być tym prawdziwym i jedynym. Doktor próbuje rozszyfrować elektrokardiografię. Jest bardzo uważny i skupiony, ale i tak nie zauważa blizny. Bo przecież nie było niedokrwienia mięśnia serca ani cech zawału. Choć świat zawalił się kilka razy.

*Co się dzieje?* O. To nie jest dobre pytanie. Cóż. Mam złamane serce. Świeżutka sprawa. Dopiero co. Czy pan doktor coś na to poradzi? Wystawi receptę, może jakieś panaceum osiem razy dziennie aż do ostatniego wydechu. Do tego plasterek, gipsik i romansik. Amen.

*Aaaa. Mam trzepotanie serca. Rzuca się jak oszalałe. Jakby arytmia.*

*Tak. Palę. Czy dużo… Hm. To zależy, czy mi zależy.*

Pierwsze koty za płoty.

Teraz muszę zdjąć górną część garderoby. Polecenie doktora jest w pełni służbowe, profesjonalne. A jednak jest w tym jakaś intymność, szpitalne „między nami". Za chwilę leżę już na lewym boku, lewą rękę umieszczam pod głową, a prawą kładę wzdłuż ciała. Plecami do doktora. Jakbym się na niego obraziła i na cały świat też. Żel ultrasonograficzny rozpływa się na mojej skórze. Fale ultradźwiękowe będą rozchodzić się bez trudu, by można było ocenić różne parametry. Doktor sprawdzi objętość frakcji wyrzutowej i proporcje jam serca. Nie wiedziałam, że mam jakieś jamy w sercu. Że serce mi pękło dwa tygodnie temu – to wiem. Ale tego na szczęście nie widać. Żaden żel tu nie pomoże. Uważnie obserwuję ekran monitora z moim sercem w roli głównej. Widać struktury serca, przepływającą w nim i w naczyniach krew. Moje serce nie ma wad. Jest niesamowite. I zdrowe. Zupełnie zdrowe. Cudownie! Jest wydolne, nie przeszłam zawału i nie mam zapalenia wsierdzia. A że pękło, że

jest rozdarte… Tego na szczęście nie widać. I tego, że kamień nie spadł mi z serca, ale w kamień serce się zamienia. Tego też nie widać. Że szłam za głosem serca. Nie widać.

Jestem zdrowa. Wszystko w porządku. Doktor nie ma się do czego przyczepić. Diagnoza: gołąb żre za dużo emocji. Objada się wspomnieniami. Nie ma na to tabletek. Szczęśliwa opuszczam gabinet. Na korytarzu rozgościło się sztuczne światło zupełnie niepotrzebne o tej porze dnia. Szlafroczki w salach. Może odmawiają różaniec. Może rozwiązują krzyżówki. Do zimnej już herbaty. Tych od bułek też już nie ma. Rozczulające to ich uczucie. Zwykłe. Wczorajsze a świeże. Sacrum. Jak chleb powszedni.

Winda zaprasza mnie do swego pustego wnętrza. Otwiera się na mnie w sposób prosty i oczywisty. Tylko dwa piętra samotności.

A potem wstąpię jeszcze do piekarni.